

Stuk, stuk, stuk – zastukały na posadzce eleganckie lecz nieco staromodne sandaalki. Sandaalki te należały do pewnej równie eleganckiej i równie staromodnie ubranej starszej pani, która w tej właśnie chwili dreptała po przestronnym holu. Miała około sześćdziesięciu pięciu lat, lecz nadal poruszała się z werwą właściwą osobom młodym. Co zaś się tyczy ubioru, jej poglądy były niezwykle tradycyjne. Oprócz sandaalków miała więc na sobie kwiecistą sukienkę z żorżety i popielaty wełniany żakiet, w rękę zaś trzymała plecioną torebkę. Owa starsza pani rozglądała się niepewnie, w końcu zdecydowała się i podeszła do młodej dziewczyny w recepcji. Podła jej wizytówkę.

- Pan Andrew Garry, hmm... To będzie pokój 103. Musi pani wejść na drugie piętro, potem w prawo, znowu w prawo i to będą drugie drzwi po lewej.

Starszka podziękowała grzecznie i ruszyła po schodach. Po chwili stanęła przed mocnymi dębowymi drzwiami. Porównała widniejące na drzwiach nazwisko z tym na wizytówce. Stojąc przed tymi wielkimi, solidnymi drzwiami poczuła się nagle malutka i bezbronna. Przemogła jednak w sobie to uczucie. Wzięła głęboki oddech i weszła. Znalazła się w małym, przytulnym pokoju. Na podłodze leżała miękka wykładzina dopasowana kolorem do dwóch pluszowych foteli. Między fotelami stał nowoczesny stolik do kawy z ciemnego drewna oprawionego w metal, a pod ścianą jeszcze kilka mebli z tego samego kompletu. Gdy weszła z fotela podniósł się przystojny mężczyzna. Miał zapewne około trzydziestu pięciu lat, gęste blond włosy w nieładzie, orzechowe oczy i drucziane okulary. Gestem zaprosił ją, by usiadła.

- Louise, prawda? Pani Louise – zerknął w notes – Louise Bjorn. Mogę ci mówić Louise? – uśmiechnął się przyjaźnie.

Starsza pani nieco machinalnie skinęła głową. W tej chwili była aż zbyt pewna, że postępuje słusznie. Nigdy by tutaj nie przyszła, gdyby nie to, co zdarzyło się pięć lat temu... Nagle Louise uświadomiła sobie, że jej rozmówca zamilkł i najwyraźniej czekał na jej reakcję. Louise nie bardzo wiedziała jednak, jak odpowiedzieć na jego pytanie gdyż go nie dosłyszała – nie była pewna, czy jakiegokolwiek pytanie w ogóle padło.

- Pierwszy raz w takim miejscu? – zapytał mężczyzna łagodnie - Nie denerwuj się, będzie w porządku.

- Przyszłam do pana w pewnym bardzo konkretnym celu – odezwała się po chwili – i ufam, że mi pan pomoże.

- Louise, podjęłaś właściwą decyzję. Rozmowa zawsze pomaga. Zwłaszcza z psychologiem – uśmiechnął się pokrzepiająco. Louise spojrzała na niego dość chłodno.

- Chcę panu opowiedzieć pewną historię, która dotyczy mnie osobiście. Zechce pan posłuchać...

- Oczywiście, przecież po to tu jestem.

- A więc dobrze, zaczynamy. To zdarzyło się pięć lat temu. Dokładnie co do dnia - przerwała na chwilę obserwując swego rozmówcę, po czym podjęła temat. – Siedziałam w salonie pijąc popołudniową herbatkę, gdy nagle usłyszałam dzwonek do drzwi. – Louise starała się wypaść możliwie najprzeciętniej i najmniej inteligentnie jak się dało. Przynajmniej do czasu. Zauważyła jednak, że twarz siedzącego koło niej mężczyzny nadal wyraża zainteresowanie. Może wszystkich psychologów tego

uczają? Takiego nieokazywania znużenia i pogardy dla często głupich pacjentów? Staruszka, wychowana jeszcze w dawnym rygorze, szczerze nie cierpiała wizyt u tak zwanych „nowomodnych” lekarzy, jak np. psychologów. Nawet do tej wizyty musiała dojrzeć bardzo długi czas. W końcu adres otrzymała już pół roku temu.

- A więc, jak mówiłam siedziałam w salonie, gdy usłyszałam dzwonek. To była moja młoda sąsiadka, pani... nazwijmy ją roboczo panią Winehouse. Ja jednak mówiłam do niej po imieniu... Eva. Oczywiście nie podam panu prawdziwych nazwisk ani imion, bo mamy przecież ochronę danych osobowych, nieprawdaż? – konspiratorsko mrugnęła okiem, lecz po chwili uznała, że jednak lepiej zachować pewien margines inteligencji. Nikt nie uwierzy, że jest aż tak głupia – W każdym razie przyszła Eva. Zapłakana.” Diana nie żyje”, tylko tyle powiedziała. Diana nie żyje. Jak to nie żyje, zapytałam. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby Diana nie żyła. Ale niestety, to okazało się prawdą. – smutno spojrzała na rozmówcę. Ten zmarszczył lekko brwi.

- A któż to jest Diana?

- Zupełnie bym zapomniała, że pan nie jest z naszego miasteczka. Bo ja mieszkam w Cottage Sky, a tam wszyscy wszystkich znają i wszyscy wiedzą o sobie wszystko. I tam każdy wie, kto to jest Diana. To pasierbica mojego sąsiada - ku jej rozczarowaniu na mężczyźnie nie zrobiło to większego wrażenia - Znałam Georga McStevena od lat wczesnej młodości. Dobry, uczciwy człowiek. Tylko nie miał szczęścia w miłości. Ożenił się dość późno, bo miał wtedy... ze czterdzieści lat chyba. I to z wdową. Z Rosalie. Ach, jacy oni byli szczęśliwi. Nie mieli dzieci, ale Rosalie miała córkę z pierwszego małżeństwa, Dianę właśnie. Obie były wprost urocze. Ale niestety, niespodziewanie Rosalie zmarła. Jej mąż i córka mocno to przeżyli. Diana miała wtedy siedemnaście, może osiemnaście lat. Chciała studiować. Nie było na to funduszy. To znaczy ona ich nie miała. Jej ojczym był bardzo, bardzo majątnym człowiekiem. Nawiazali więc umowę: ona dostanie cały majątek w zamian za opiekę nad nim do śmierci. To nie tak, jak się może wydawać – dodała po chwili.

- On był sparaliżowany. Poruszał się na wózku. Nie mógł sam o siebie zadbać, a jednocześnie nie miał na świecie nikogo bliskiego, prócz Diany właśnie – Louise przerwała i spojrzała na psychologa. Nie była do końca pewna, co takiego chciałaby zauważyć. Może jednak wpatrywała się w niego odrobinę zbyt bezceremonialnie, gdyż mężczyzna spłoszył się lekko.

- Ależ tak, to zupełnie naturalne! Takie umowy zawierane są zaskakująco często nawet wśród bliskich. Doprawdy, nie ma w tym nic zdrożnego... - ewidentnie próbował usprawiedliwić Dianę i jej ojczyma. A przecież nawet ich nie znał. Starsza pani uznała, że według jego opinii, to świadomość niemoralnego postępowania tych dwojga przywiodła ją tutaj.

- Tak, tak, wiem, tylko widzi pan... Diana nie żyje. Wzięła tabletki nasenne. Twarz psychologa przybrała nieodgadniony wyraz. Zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, jednak rozmyślił się. Louise zastanawiała się, cóż to mogło być. Ciągnęła jednak dalej.

- Bo widzi pan, McStevena ktoś zabił. Strzelił do niego z rewolweru. Oskarżono o to Dianę. Miała motyw – pieniądze i to naprawdę duże pieniądze. Tylko widzi pan... to nie była ona. Ja to wiem i inni też to wiedzą. Ale nie policja. Policja ma w głębokim

poważaniu prawdę. Dla nich liczy się tabelka, w której wpiszą, że rozwiązali kolejną sprawę – prychnęła ze złością. - Diana nie chciała spędzić całego życia w więzieniu. Wolała śmierć.

- Chcesz powiedzieć, że Diana nie zamordowała swojego ojczyma, ale ją o to oskarżono. Chcąc uniknąć niesłusznej kary odebrała sobie życie. To istotnie makabryczna historia. – mężczyzna zadumał się.

Louise nie odpowiedziała natychmiast. To, że całą tą historię przyjął z dziwnym spokojem, zaskoczyło ją. Czyżby ludzkie tragedie były dla niego chlebem powszednim? Starsza pani szczerze w to wątpiła.

- Taaak, ale to nie wszystko. Właściwie, to dopiero początek. Nie było cienia wątpliwości, że McSteven został zamordowany. Znalaziono nawet broń, z której... no... wie pan. Była w strumieniu nieopodal. Czas morderstwa określono dokładnie jak nigdy. Jakieś dziesięć minut przed dziesiątą był na spacerze i spotkał kilku znajomych. Dziesięć minut po dziesiątej Silvia znalazła jego ciało.

- Silvia?

- Pielęgniarka. Bo widzi pan, u nas pielęgniarki dostają dodatkowe wynagrodzenie za odwiedzanie chorych i kalek. Tego dnia dyżur miała właśnie Silvia Trotter. Niezbyt sympatyczna, koło czterdziestki. Dość ładna, ale... no, mniejsza z tym. W każdym razie ona też była jedną z podejrzanych – urwała na chwilę czekając na reakcję swojego rozmówcy, jednak tym razem zawiodła się.

- Gwoli ścisłości to, że miała akurat dyżur było przez Silię zupełnie nieplanowane.

- Skąd ta pewność, Louise? – niespokojnie zerknął na zegarek.

Starsza pani uśmiechnęła się lekko, a w duchu odtańczyła szalony taniec radości. Wreszcie jakieś emocje. A więc jednak...

- Eva jest osobą szalenie romantyczną. Czytuje kryminały i zaraz sama chce bawić się w detektywa. Odwiedzała po kolei wszystkich, przepytowała, podglądała, „zbierała dowody”. Sprawdziła to dokładnie. W Cottage Sky mamy jeszcze jedną pielęgniarkę. Nazywa się Victoria Roof. Kiedy zabito McStevena spędzała akurat swój miesiąc miodowy w Grecji. Oczywiście więc było, że zastępuje ją Silvia. Nie przypuszczam, żeby Victoria brała ślub za namową koleżanki z pracy.

- Będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę? – mężczyzna na znak Louise wyciągnął cienkie markowe papierosy. Poczęstował Louise, lecz odmówiła. Zapalił, zaciągnął się dymem po czym spojrzał poważnie na rozmówczynię.

- To rzeczywiście dość skomplikowane. Eva... Silvia... czy myślisz, że to któraś z nich go zabiła? Wiesz, nie potrafię ci pomóc w tej sprawie – dodał miękko – Może to jednak Diana? Czy nie lepiej w to wierzyć? Wiem, to trudne, ale czasem po prostu tak jest. Trzeba zapomnieć...

- Taaak, ja też myślałam, że to jednak ona... dopóki Eva nie powiedziała mi o Alanie Fastersie...

- Alanie Fastersie? Kim on jest?

- Cóż, nie wiem dokładnie i przypuszczam że nikt nie wie. Jakiś młody facet. Pojawił się nie wiadomo skąd i narobił sporo zamieszania – spojrzała na niego niewinnie.

- Na 10 minut przed oficjalnym czasem popełnienia morderstwa zajechał do sklepu samochodem, sam, w garniturku. Kupił wino, najdroższe czekoladki oraz co

najciekawsze zapytał, gdzie mieszka McSteven. W sklepie sprzedawała Betty Shaw, klientkami byłyśmy Eva i ja.

- Po co przyjechał ten mężczyzna?

- Nikt nie wie na pewno. Jedni uważają, że miał jakieś dawne zatargi z McStevenem. Kupił wino i czekoladki, bo nie wypada iść z pustymi rękami. Nawet bandzior to wie. - Louise wcale nie musiała się starać, aby wypadło to przekonująco. Sama była szczególnie wyczulona na punkcie dobrego wychowania. - Inni twierdzą, co jest chyba bardziej prawdopodobne, że miał romans z Dianą. Ta teoria też ma jednak słabe punkty. Czyżby nie wiedział, że w domu jest jej ojczym, który, delikatnie mówiąc, nie popierał związków Diany z kimkolwiek?

Mężczyzna sięgnął po kolejnego papierosa. Nie patrzył już na Louise. Zawiesił wzrok na panoramie miasta widocznej z okien gabinetu.

- Pielęgniarka, pasierbica, nieznajomy... Przyszłaś tu, żebym ci powiedział, kto z nich to zrobił? Nie wiem, Louise.

- Eva była pewna, że to ta pielęgniarka, ale ona miała alibi – widząc pytanie w oczach rozmówcy dodała – Eva była u niej. Chciała porozmawiać. Cóż, co więcej może amator? Jednak Silvię niezwykle to zdenerwowało. Wyrzuciła Evę za drzwi obrzucając stekiem niewyszukanych epitetów. Mówiła coś o rozdrapywaniu ran, wtrącaniu się w nie swoje sprawy i tak dalej... Eva zdążyła spojrzeć w jej grafik. W czasie morderstwa zajmowała się panią Harrison.

- Jak się domyślam, pani następnym krokiem było odwiedzenie pani Harrison? Louise dostrzegła lekką zmianę w jego głosie. Coś jakby nutka ironii... albo może jej się po prostu wydawało. Skarciła się w duchu za zbyt bujną wyobraźnię.

- Nie moim, to Eva ją odwiedziła. Ja jestem już za stara na takie dochodzenia. Monica Harrison mieszkała bardzo niedaleko pana McStevena, właściwie ich posiadłości graniczyły ze sobą. Ta wizyta rozczarowała Evę. Pani Harrison zmarła kilka dni wcześniej na zapalenie płuc – ostatnie słowa celowo zaakcentował nieco mocniej niż normalnie.

- Czy to także morderstwo? Jeśli tak, to doprawdy aż strach mieszkać w waszym miasteczku – mężczyzna widocznie próbował rozładować napięcie, jakie powstało, lecz bezskutecznie. Zamilkł zgromiony wzrokiem Louise.

- Eva sprawdziła. Silvia nie miała wtedy dyżuru. Także Alana nie wiedziano więcej w Cottage Sky. Właściwie można było się tego spodziewać. Diana w areszcie, McSteven nie żyje. Nie miał powodu, by wracać, prawda? – zerknęła na swego rozmówcę. Żadnej reakcji – Eva się uparła, żeby obejrzeć pokój zmarłej. Opowiadała mi o tym. Zwyczajny pokoik, tyle, że gustownie urządzone. Na pierwszym piętrze. Żadnych tajemnych drzwi, schowków, listów w skrytkach. Stella wróciła z niczym. Za to pokażę panu, co wydumała – wyjęła z torebki kartkę papieru gdzie pochyłym, ewidentnie kobiecym pismem zostało wyrysowane coś na kształt tabelki.

DIANA COURTNEY:

Motyw: fortuna ojczyma

Alibi: brak (Twierdzi, że była w ogrodzie sama, lecz nikt tego nie może potwierdzić.

Gdzie była? I z kim?)

ALAN FOSTER:

Motyw: dawne zatargi (Jakie?)

Alibi: brak: (Co robił, jeśli go nie zabił? Po co w takim razie przyjeżdżał? Romans?)

SILVIA TROTTER:

Motyw: brak (W takim razie czemu nie chciała rozmawiać z Evą?)

Alibi: zajmowała się chorą panią Harrison

Mężczyzna wziął kartkę i wpatrywał się w nią długo i namiętnie. Gdy oddał kartkę Louise wyglądał na zadowolonego.

- Dobra robota. Eva jest szalenie metodyczna. Hercules Poirot byłby dumny. Zresztą, ty też powinnaś być.

- Nie sądzę. Mamy tu trzy osoby, które mogły popełnić morderstwo. Nikt inny nie wchodzi w grę, zauważono by jego obecność. W te wydarzenia były zamieszane tylko te osoby. Mordercą jest ktoś z nich. Tylko że to się zupełnie nie układa w spójną całość.

Psycholog, który od dłuższej chwili miał zamknięte oczy otworzył je nagle wwiercając się spojrzeniem w Louise. Chociaż się nie odezwał, to starsza pani poczuła bijący od niego chłód. Louise zrozumiała, że to ostatni moment, żeby się wycofać. Jeszcze ma czas. Nagle przez głowę przemknęło jej pytanie: a co jeśli się pomyliła? Nie, nie wycofa się, nie teraz, nie po pięciu latach, postanowiła nagle.

- Drogi panie, po głowie chodzą mi pewne pytania. To, że Silvia nie mogła zabić, jest jak na razie najbardziej prawdopodobne, zatem przyjmijmy to na razie jako pewnik. Jeśli tak, to musiał to być ktoś z pozostałej dwójki. Jeśli to Diana – co w tym czasie robił Alan? Jeśli to on – co z Dianą? Jeśli Alan chciał go zabić, po co pokazywał się w sklepie? Zrobili to razem? Więc czemu Diana nie wydała współnika? Tak dużo pytań, tak mało odpowiedzi...

Mężczyzna zabębnił palcami o blat stolika.

- Dlaczego przyszedł do mnie?

Louise zignorowała pytanie. Siedziała apatycznie bezmyślnie gapiąc się na ścianę. Nie było na niej nic ciekawego, jednak staruszka z uporem maniaczki wpatrywała się w wiszące na niej obrazy.

- Silvia nie ma rodziny. Kiedyś krążyły plotki, że wychodzi za McStevena ale nic z tego nie wyszło. On wolał Rosalie – dodała w zadumie.

- Wiem, dlaczego przyszedł. Louise, jeszcze możesz to odkręcić, to nic nie zmieni. Zdumiona Louise otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła.

Mężczyzna siedzący obok wpatrywał się w nią z niepokojem odmalowanym na twarzy.

- Pani Silvia Trotter nie miała alibi – powiedziała tak spokojnie, jakby mówiła „dzisiaj będzie ładna pogoda”. Psycholog zachłysnął się. Gdy wreszcie kaszel ustał, oparł głowę o miękkie zagłówek fotela. Wyglądał na zupełnie wyczerpanego.

- Proszę, mów dalej – zachęcił widząc spłoszone spojrzenie starszej pani.

- Silvia istotnie była wtedy u pani Harrison. Ale pani Harrison mieszka bardzo blisko Georga McStevena, a pod jej oknem rosną wysokie kasztanowce. – przerwała na

moment po czym zaczęła zmieniać temat. - McSteven ożenił się z Rosaile. Nie wiedział, że szaleje za nim Silvia. To, że jest pielęgniarką, stwarza duże możliwości. Silvia bez trudu zabija Rosalie wszczepiając jej bakterie zapalenia płuc. Robi to oczywiście z zazdrości, naiwnie myśląc, że po śmierci żony McSteven zakocha się w niej. Ale, o ironio, McSteven dalej jej nie zauważa. Do tego zaczyna coś podejrzewać. Zabezpiecza się, chce mieć pasierbicę przy sobie. Silvia wykorzystuje sytuację, kiedy młodzi są w ogrodzie, usypia panią Harrison, schodzi po drzewie i biegnie do domu McStevena. Zabija i szybko wraca tą samą drogą. Zajmuje jej to nie więcej niż dziesięć minut. Pojawia się jednak kolejna przeszkoda: pani Harrison zaczyna coś podejrzewać. Jedna dawka leku więcej i po kłopotcie. Śmierć Diany także była jej na rękę...

- To absurd.

- Oczywiście! – starsza pani wydawała się zdumiona, że ktokolwiek mógł sądzić inaczej. Jej okrzyk zupełnie zbił z tropu siedzącego naprzeciw niej psychologa.

- Więc dlaczego? Dlaczego to robisz, Louise? To nie ma sensu, uwierz mi. Nie marnuj sobie życia. To nic nie zmieni – jego głos znowu brzmiał miękko, łagodnie, wręcz hipnotyzująco. Louise z zaciekawieniem wpatrywała się w jego twarz. Tego się nie spodziewała.

- Mogę cię o coś zapytać, Louise? Dlaczego to zrobiłaś?

Oczy kobiety zaokrągliły się ze zdumienia.

- Dlaczego zabiłam Georga McStevena? – zrobiła efektowną pauzę. Nie mogła sobie tego odmówić, zawsze lubiła efektowne zagrania – nie zrobiłam tego – odpowiedziała z prostotą.

Mężczyzna nieznacznie pochylił się w fotelu. Louise otworzyła szerzej oczy.

- Powiem panu, jak było naprawdę. To Alan – staruszka delektowała się wypowiedzianymi słowami - Przyjechał i pokazał się w sklepie dając tym samym do zrozumienia, że przyjechał do Diany. Oświadczył się jej. Ale to z kolei nie spodobało się McStevenowi. Stary, w przypiływie gniewu, chciał zerwać umowę z Dianą. Alan nie wytrzymał i strzelił. Później przekonał Dianę, że to jedyne wyjście, a ona w końcu uległa i obiecała milczenie. Nie wytrzymała jednak i opowiedziała wszystko pani Harrison, po czym popełniła samobójstwo. Tym samym wydała na niewinną kobietę wyrok śmierci. W nocy Alan zakradł się do domu pani Harrison, prawdopodobnie wspiał się po drzewie i znów zabił. Pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego? – powtórzyła dobitniej patrząc w oczy mężczyzny.

- Dlaczego? Przecież nie mógł wiedzieć, że Diana się zabije. Chciał mieć piękną żonę i żyć w bogactwie do końca życia. Dlatego – nagle mężczyzna zaczął się histerycznie śmiać – jak to zrobiłaś, Louise? Jak mnie znalazłaś? I dlaczego?

- Przyznaję, to nie było proste... Andrew – przeczytała napis na plakietce – To tak się teraz nazywasz? Andrew?

- Pseudonim artystyczny – wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Musisz odpowiedzieć za swoje czyny.

- Nic nie muszę. Nic na mnie nie masz stara wariatko. Nic, oprócz swoich bzdurnych teorii spiskowych, urojonych w twojej chorej głowie. Nikt ci nie uwierzy. Po co w ogóle

do tego wracasz? Ostrzegałem cię, kiedy jeszcze nie było za późno. A teraz? Co ja mam teraz z tobą zrobić? – uśmiechnął się zrezygnowany.

- Andrew, dobrze wiesz, że śledztwo zacznie się na nowo. Nie ujdzie ci to płazem. Przez ciebie zginęły trzy osoby...

Mężczyzna niespiesznie i z jakimś dziwnym spokojem sięgnął pod marynarkę. W jego dłoni błysnęła stal.

- Andrew! Andrew nie...!

Powietrze rozerwał strzał. Ciało bezwładnie osunęło się w fotelu. Ręka nadal bezwiednie zaciskała dymiący jeszcze pistolet. Na puszystej wykładzinie widniała teraz potężna kałuża krwi. Drzwi otworzyły się po chwili i pokój momentalnie wypełnił się ludźmi.

- Co się sta... O matko!

- Halo, lekarz, potrzebny zaraz lekarz!

- Słyszałam strzał, kto strzelał?

- Ach, aaa...

- Boże, ile krwi...

- Co za tragedia!

- Przejście, przejście dla lekarza!

Tłum gapiów, którzy wybiegli ze swoich pokoi, odsunął się robiąc przejście dla lekarza. Ten nachylił się nad zwłokami i pokręcił głową.

- Nie żyje...

- Samobójstwo...

- Jaka szkoda...

Ludzie szemrając i wymieniając przypuszczenia powrócili do swoich zwykłych zajęć.

„Z głębokim żalem przyjęliśmy śmierć Louise Marie Bjorn, wieloletniej działaczki na rzecz Cottage Sky oraz oddanej pracownicy miejscowego Urzędu Poczтового. Żegnamy w jej osobie wieloletnią sąsiadkę, wierną przyjaciółkę, kochającą siostrę, życzliwą wszystkim osobę nadzwyczaj miłującą prawdę. Oby znalazła po śmierci to, co jej się niezaprzeczalnie należy – sprawiedliwość, zgodnie ze słowami <<Błogosławieni którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni>>.”

- Ach, Andrew, jak dobrze, że już jesteś! – Zgrabna brunetka rzuciła się mężczyźnie na szyję. – W telewizji mówili co się stało. Matko, jakie to straszne! Tak się o ciebie bałam! Przecież ta wariatka mogła cię zabić!

- Na szczęście nic takiego się nie stało, Lauro – przytulił dziewczynę.

- Dlaczego ludzie są tak podli? Dlaczego przyszła skończyć ze sobą akurat w twoim gabinecie? Dlaczego? – załkała, po czym mocniej wtuliła się w jego ramiona.

- Shhh, już dobrze. Skarbie, mamy siebie. Teraz już nic nam się nie może stać.